

L. Całkosińska

Śląsk, ziemia Elżbiety

Pisać dziś o „Ziem Elżbiety” Gojawiczyńskiej wydaje się niemal anachronizmem. Ale choć upodobniać się do tego przemilgo człowieka, który to w roku ubiegłym oznajmiał kolejno znajomym, że odkrył świetnego humorystę. — Czytałem „Klub Pikwicki” — świetnie! Jakże się autor nazywa... oho. — Dickens — to nie mogę sobie odmówić prawa do powiedzenia, że: „I ja odkryłam „Ziem Elżbiety!”

Spadło to na mnie nieoczekiwanie, jak wiosenna, ciepła ulewa. Jak moje pierwsze zetknięcie się ze Śląskiem, gdy na linii Kraków — Wiedeń, usłyszała: „Tożemy już i na Śląsku”. Było to piękne ponad miarę codziennych ludzkich wzruszeń. Słowa — symbole słyszane od dzieciństwa, ważne i cenne: „Macierz i Śląsk” — nabrały naraz barwy i rzeczywistości. Pod księżycową poświatą mleczną i migotliwą, leżały uśpione białe sady. W zaroślach, wzdłuż torów śpiewały słowiki. Tak na każdej stacyjce, każdym postoju czekały kwitnące sady i srebrzyste kaskady tryków. Ta noc księżycowa, ogrody i słowiki, cała wiosenna magia, stopiły się na zawsze w jedno z pojęciem Śląska. Potem, po nocy, przyszły dni wtajemniczeń i poznania. Pamiętam, kukulki nawoływały się nieustannie z młodzieńskich, brzozykowych gajów, i wołanie ich przeplatujące od wzgórz do wzgórz wypełniało całą dolinę. Mówiono mi: „To jeszcze nie, powinnaś zobaczyć Beskidy i Wisłę i patnicze Piekary — Cały Śląsk” — i jeszcze: „zawsze tu tyle sadzy”. Tak, sadza była. Po deszczu, w ciężkich okładach bżów pozostawały małe plamki. Nie było to jednak urokiem więcej? To i te rzęście drobne, ciepłe ulewy, po których zieleni falistych łąk była jeszcze zielenią? Dzieci biegały po nich ze śmiechem, a na progach górnych domków okolonych lilipuciami ogrodami, stawały jasne, postawne słazaczki, jedna podobna do drugiej i pokrzykiwały nawoływały raczej z przyzwyczajenia: „Synku, a pódz sam — pódz ze synku”. Bo już słońce pobyskiwało zza obłoku i nierzadko tęcza wsparta na dwu przeciwnych wzgórzach obejmowała błogostawiając ramieniem ziemię, ludzi, pola i te kukulce nawoływania.

Nie, nie byłam w Piekarach, ale napewno tam jeszcze pojade. Bo czy mi się tylko zdaje, czy nie tam mieszka Elżbieta? I gdy myślę o tem, to zgóry wiem, jaką odbędzie drogę, co uczynię, opuścisz byz transytkę, w którą skieruję się stronę. Czasem tylko ogarnia mnie lekkie zwątpienie. Czy znaję sklep kuzyna Haleckiego i „Jupitera” nowoczesnego, jak nadchodząca chwila? Czy zostanę jeszcze obierze pod Farą i „Wypoczynek”? Czy przy ul. Kościelnej — i to jest najważniejsze — bluszczą kryształowymi szymbal „Devocionalja” Agnieszki Ligęzowej i wycziera z pomiędzy figur Świętych Pańskich niebieskooka — pełna w sobie pani Agnieszka? Nie wiem, Gojawiczyńska zatarała granicę pomiędzy fikcją, a rzeczywistością, i uczyniła to tak misternie, że ludzie, uliczki, kramy patniczej osady, pozostały w pamięci, jako oglądane obrazy. Tak czy inaczej — jednego jestem pewna — kapliczki na grobie małego farsza i świętego źródła. Kto wie, może mi tam przyjdzie zadumać się gorzko, jak niegdyś w Lourdes, nad ułomnością ludzką, szpecącą w gorliwości, gwoli wygodzie patniczej, właśnie te miejsca, które widać wydały się Mateo Boskiej dostatecznie pięknymi, jeśli obracała je na swój przybytek.

Taki to już jest los nieprzeciętnych książek, że czytając je, przy pominięciu sobie inne, i równie cenne. Zdawałoby się, że wspólny poziom, wytworzył w rezultacie wspólną — właściwą im atmosferę. Czytając „Ziem Elżbiety”, czułam poza nią spojżenia, gesty i wymowy dwóch innych: „Krystyny, córki Lawransa” i „Dni i Nocy”. To Krystyna weszła niedostrzeżona z małą Elżbietą do kościoła i równy tupot ich dziecięcych stóp odbija się e-

chem o wysokie sklepienie. To Krystyna, trzymając Elżbietę za rękę, zatrzymuje się przed nawpół zatartymi obrazami świętych. One to dorastają w światłobliwej atmosferze klasztoru, by razem rzucić się w płomienie namiętności. Tylko, że Krystyna idzie niestrudzona dalej — a Elżbieta powróciwszy do domu z dzieckiem w ramionach — patrzy na utracąną przeszłość, zamkniętą i ogłuchłą na głos swej ziemi.

I taksamo patrząc na Agnieszke Ligęzową, myślę o Barbarze Niechcicowej. Nie dla analogii! Niema ich zupełnie, poprostu

przez poczucie kontrastu postaci i atmosfery. Atmosfera Agnieszki jest złocista i gorąca, jak płomień domowego ogniska. Promienie nazwanej, zagarnia w krąg dobroczynnego ciepła i ożywienia. Życie w pobliżu niej wydaje się bezpieczniejsze i prostsze — bo sama jest, jak życie. Prawie, że doskonała, doskonałością pełni, w której zło i dobro łączy się wywierając nieodparty urok. Wyrozumiała — bo pełna przewin — świadoma swego celu i sensu życia; swego miejsca praw i obowiązków. Rytm pracy ma we krwi, pracuje bo jest to

jej wewnętrzna potrzeba, bo już życie bez pracy, a co zatem idzie dorobku, nie miałoby celu ni powabu. I spojrzcie: oto dorobek przestaje być czymś, co ukrywamy wstydliwie, jak haniebną dokument wczorajszego ubóstwa! Dorobek Gojawiczyńskiej, ma w sobie podźwięk szlachetnych elementów, piękno hamsunowskiego „Błogosławieństwa Ziemi” i ludzi dążących wwyż. Ach! Dość już długo bawiliśmy się w problemy etyki, dusz złamanych, dość długo słyszelśmy o domowym kieracie, przymusowych dożywnościach pracach kobiety! Dość

długo zarzucano nam, że w przeciwieństwie do wzbogaconego chłopca północy, jesteśmy narodem zubożonych karmazynów mających pracę w pogardzie. Któż, jak nie Agnieszka podniósł wartość dnia powszedniego do poziomu życia? Któż, jak nie ona żyje nim, a nie mimo niego? Kto bardziej i logiczniej od niej może być związany z powodzeniem, — powodzeniem własnym i tych, którzy z jej szczodrobyłości czerpią?

Mówi się Agnieszka, — a naprawdę to myśli się: Śląsk. Agnieszka jest elementem ży-

cia — płomieni i barw. Barbara chłodu i stalowego błękitu.

Atmosfera Barbary jest chłodna i stalowo — szara, jak dzień, z którego wycofało się słońce i deszcz; dzień nijaki. Nigdy nie zaspokojała i nieskończona, świadoma tego, czym mogłaby w życiu być, nieświadoma tego, co posiada, stwarza sama precedens do niepowodzeń. Jeśli pracuje — to zaciekle, aby zapomnieć, aby zabić pamięć i myśli. Jeśli daje, to przekonana o bezużyteczności tego daru. Jeśli jej dom niekiedy ociepla się i pogodniej, jeśli się powodzi, praca praca przestaje iść, jak po grudzie, to my pierwsi razem z nią dziwimy się i wyciekujemy skrytego losu.

Barbara ugina się ciągle pod urojonemi nieszczęściami, Agnieszka raz, gdy się zdaje, że dziecko od niej, nie, nie od niej — lecz od ziemi, od osady — odchodzi na zawsze.

A z tem wszystkiem jest coś, co obie te kobiety w naszej świadomości łączy. Piętno nieodpartej, całkowitej prawdy, znaczące tak powieść Dąbrowskiej, jak i Gojawiczyńskiej. Ludzkie życie, prawdziwe, niesfałszowane, pulsujące w tych książkach.

Pełnia życia... Ale czyjego? Bo w miarę, jak czytamy „Ziem Elżbiety” zdaje sobie sprawę, że to nie idzie ani o karierę Ligęzów, czy Haleckich, ani o tragedię strażnikowej Buczowej, ani o dramaty Elżbiety, ani nawet nie o Agnieszke, lecz o Ziemię jej. Te wydarzenia i ci ludzie napozór małoważni, nabierają ceny i wagi wzięci razem, jako siła zbiorowa. Przekrój patniczego osiedla, to przekrój życia ludzi z krwi i kości, tych co przetrwali przez wieki w religii i wierze naszej, a dziś urzeczeni głodem swych dzieci obracają zwolna wzrok ku dymiącym fabrykom Niemiec. Życie tych ludzi, to życie Śląska. Czujemy to z młodą Hallertem, patrzącym na obie osady. To jest najważniejsze — to właśnie najważniejsze i gorzkie.

Straszną bronią jest kobieta wymowa. Jakąż szatańską potęgą jest w ustach złej istoty, jakże błogosławiona tam, gdzie towarzyszy jej wielki umysł i gorące miłością serce. Gdzieś kiedyś, skromna Amerykanka opowieścią o niedoli murnymu położyła kres niewolnictwu. Książki pisane sercem, wzbudzają czyn — i taka jest „Ziemia Elżbiety”. Wymowniejsza od deklaracji, polemiki i zwad sejmowych. Czy pozostanie bez odpowiedzi? Któż z nas nie uświadomił sobie naraz najprostszą prawdę, wspólnoty krwi, i prawdy grożącego niebezpieczeństwa? Kto z nas zapomni i zaśnie spokojnie po tragicznym finale, aż potężnym wprostofacie, — zamykającym złowrobnym akordem złocistą księgę Agnieszki:

„...Wtedy wysunęła się z tłumu setka takich śpiwaków i setka Sroczyn, do których nie dotarła szeroka rzeka ludzkiego miłosierdzia — lecz — nie bój się dotarły panie Frau Nazimowskie. A kiedy już z owego tłumu wysunęły się i oddzieliły — jakgdyby ktoś niewidzialną sieć zerwał, — podjęły się z miejsca biegiem i kupą — w stronę dymiących kominów — w stronę granicy. Do punktu.

— Tam miły poździem! Tam, dla nas ratunek.

Ludzie patrzyli zmartwiali ze zgrozy. — W młeczeniu. W grozie. W osłupieniu. Albowiem niema chyba nie gorzszego na świecie, niż z ziemi swojej tak uchodzić.

Strażnik Rontel służbę podówczas miał na swym odcinku; odcinek zaś ów nie jest tak krótki, aby go człek zapelniał mógł i zaslonić sobą w każdym miejscu naraz. Z niejakić więc odległości dojrzał pedzącą kupę ludzką. W pierwszć chwili na ten niebywały widok osłupiał, — lecz zaraz też, ująwszy przed się karabin, ruszył z kopyta. Co zaś to miało być? Dostrzegł, że nie mieli żadnych tobołów przy sobie, nie byli więc przeciwnicy?.. I w tej chwili tknięty, jak piorunem myślał strasliwą, wrzasnął: — Stać! Stać!

Trzęsąc się przylotnie broń do ramienia, w szale swym pragnąłby wyłóć ich co do jednego!.. Lecz runął już poza biały punkt graniczny. Wtedy grzmotnął karabinem o ziemię. Wtedy i w nim coś się widać rozkruszyło i rozprószyło, bo otóż wkręcając w świat cały, w szale wściekłości i wzgardy:

— Toćżem w powstaniu był, pierony! Toćżem powstawał! W Lipku-m — w skrzyni niemieckiej za powstanie, gni! A bodajże-ście zczęzi! A bodaj was!..

Ludzie z osady szli ku niemu z rak zalamywaniem i krzykiem”.

Andrzej Miłowski

Sztuczki ze sztuką



Somerset Maugham

Rozwój tak zwanej lekkiej lektury jest jednym z charakterystycznych przejawów współczesności. Wynika on bezpośrednio z tak znacznego obecnie rozszerzenia zasięgu książki w ogóle, a także z tak zwanego „zmęczenia wojną”, które wyraźnie się wzmacnia, w miarę oddalania się od czasu wojny. W istocie jednak jest to raczej zmęczenie nowymi problemami, jakie życie piętrzy przed zagubionym w obecnym chaosie człowiekiem, ucieczka od tych problemów, ucieczka od życia w ogóle. Powieść sentymentalna i powieść kryminalna przykuwają uwagę i porwiają prostotą życia swych bohaterów, cudownym, pomyślnym wyplątywaniem się przez nich z najtrudniejszych zawiłań — dają chwilowe zapomnienie w świecie życia latwego.

Pod naporem „powieści lekkiej” ustępuje nawet powieść tendencyjna, o ile nie zalicza się do drugiej przemownej kategorii beletrystyki współczesnej — do powieści modnej. Snobizm płata niebezpieczne i często nieprzyjemne figle swym wyznawcom i czcicielom. Trudno przypuszczać, żeby przeciętnemu snobowi sprawiło niebiańską rozkosz przeczytanie powieści Wassermanna, jednego z najbardziej niestranych pisarzy współczesnych. A przecież jeszcze 4 lata temu były to książki cieszące się największym zbytem w czytelnich publicznych. Nieznajomość Wassermanna zaliczała się w pewnych kołach do szokujących towarzyskich. Pisarzem modnym u nas miał niebezpieczeństwo być swego czasu biedny Conrad, dotąd jeszcze sławiony gdzieś indziej jako ten, który... pierwszy wskazał Polsce drogę ku morzu.

Powieść modna i powieść lekka, to dwa rodzaje literatury, których wydawanie się opłaca. Są to gatunki niezależne i rzadko nawet cechy obu łączą się w jednym autorze. Do takich wypadków należał Jack London, odkryty zgodnie z prastarą naszą tradycją w dobie kilka lat po śmierci (która, jak wiadomo, odznacza się tem, że przerywa zwykłe twórczość artysty i jest pierwszym krokiem do wykreślenia go z listy współczesnych). Do takich ma wszelkie dane należeć W. Somerset Maugham, w odczytanie swegoż znanego bardziej jako dramaturg, u nas raczej jako nowelista, mimo, że parę sztuk jego zna-

lało się swego czasu w repertuarze warszawskich teatrów.

Ostatnio ukazał się przekład jego książki p. t. „Ashenden”, który ostatecznie uzupełnia sylwetkę artystyczną i moralną autora. „Wydawnictwo Współczesne” przejęło się ideą przyswajania nam jego dzieł, ukazał się też szereg przekładów mniej, lub więcej słabych (Malowana zasłona, Wyspa słońca, Cnota i wyżej wspomniany Ashenden). Gorliwość „Wydawnictwa” posunęła się aż do dwukrotnego wydania tego samego tytułu pod dwoma różnymi tytułami (Wyspa słońca i Honolulu), widocznie celem wzbogacenia i tak już obfitej, bo kilkadziesiąt tomów liczącej twórczości autora.

Somerset Maugham jest postacią dość charakterystyczną, na tyle, a raczej w tle naszej współczesności kulturalnej i dlatego zasługuje może na szersze omówienie. Ostatni przekład „Ashenden”, nie jest zbiorem nowel, ani powieścią, tylko opisem fragmentów kariery szpiega angielskiego podczas wielkiej wojny — według wszelkiego prawdopodobieństwa zbiorem osobistych wspomnień. Książka potwierdza opinie o stanowisku moralnym autora, jaką można sobie było wyrobić na podstawie jego nieautobiograficznych dzieł. Dominującym rysem tej twórczości jest cynizm, szczególnie w omawianym dziele przypominający Pitigrilla, nawet w pewnych zewnętrznych „chwytach”. Oczywiście istnieje znaczna różnica kultur, zarówno osobistych, jak kultur środowiska.

Angielska przynależność Maughama przejawia się wyraźnie w mniej jaskrawym podkreśleniu tematów seksualnych — zgodnie zresztą z wymaganiami rynku krajowego — i w ogóle w większej subtelności. Maugham to esteta i sybaryta, Pitigrilli to cham i bolszewik. Stosunek do życia jednak jest ten sam. Cynizm, mimo wszystko bardzo nieprzyjemny, można by wybaczyć, gdyby płynął z głębszych przeżyć wewnętrznych autora, wykołajenia pod ich naciskiem, ale w tym wypadku źródłem jego jest chęć wywołania efektu. Autor dąży do szokowania czytelnika na każdym kroku, czy to swoja postawą, znaną obecnie pot nazwą „śmieleć”, a dawniej zwyczajnie nazywanej „bezezelną”, czy też niezwykłością opisywanych wypadków. Doskonale wykorzystany moment zawieszenia, utrzymujący czytelnika w napięciu, prowadzi do zupełnie nieoczekiwanych rozwiązań.

Typowym przykładem jest w „Ashendenie” owa kobieta, którą zmuszają do zwabienia na teren nieprzyjacielski szpiega, którego kocha. Kiedy wreszcie to się udaje i kobieta otrzymuje wiadomość, że własnymi rekami zabiła tego człowieka, po przyjęciu do siebie pyta się, czy może otrzymać jego złoty zegarek, wartości kilkunastu funtów. Podobnie wygląda inna historia w cyklu „Custa” (First Person Singular):

Młody człowiek odkrywa niezwyczajne walory w grubo starszej od niego i potwornie po staroświecku ubierającej się kobiecie, czyni z niej nowoczesną damę, a ona potem porzuca go dla innego, będąc już koło pięćdziesiątki. Autor pozwala sobie na nieprawdopodobne wprost sztuczki z czyteln-

kiem: w jednym z rozdziałów „Ashenden’a”, umierająca, sparaliżowana staruszka ma coś niesłychanie ważnego do powiedzenia i jesteśmy trzymamy w napięciu bardzo silnym. Ale staruszka umiera i nie dowiadujemy się, co chciała powiedzieć, odnosimy natomiast wrażenie, że sam autor nie wiedział, czego chciał. Oczywiście opowiadania te nie mają najmniejszej prawdy psychologicznej, ani poprostu żadnego sensu, ale swą niezwykłością wywierają efekt na stępałej wrażliwości współczesnego czytelnika. Są to sztuczki ekwilibrystyczne, ciągle stawianie na głowie i wmawianie w osłupiałego widza, że ta pozycja jest właśnie najnaturalniejsza w świecie.

Utwory Maughama są „luksusową sensacją” dla tych snobów, którzy nie chcą się pospolitować czytaniem powieści kryminalnych a odczuwają brak lekkiej lektury. Ucieczka z przerafinowanej estetyki damy z towarzysztwa ze swym lokajem („Custa”), albo uwidzenie pastora przez dziewczynę uliczną („Wyspa słońca”) są nawet większymi sensacjami od morderstwa, choćby potrójnego. Niema zaś degradacji, zejścia do nizin romansu kryminalnego. Atrakcyjności dodaje jeszcze ekwilibrystyka z problemami, które ni by to są zawiązywane, a w gruncie rzeczy ich niema. Zresztą stanowisko autora jest często sprzeczne w dwóch nowelach tego samego tomu. W jednej wychwala cywilizację europejską, w drugiej przedstawia ją jako piekło; w jednej daje obraz moralnej degradacji, w drugiej uduchowienia (Honolulu). Dlatego trudno właściwie mówić o moralności Maughama. Jedynie ważną dlań rzeczą jest ciekawy temat. Cynizm służy do imponowania tłumom, które zawsze patrzą z podziwem na czołowieka bezwstydne. Oczywiście pewna ilość subtelnych jednostek odwraca się z niesmakiem, ale jedynie istotna jest kwestja popularności.

Pełnię swego swoistego talentu rozwiniął Maugham, trafiający na tematy egzotyczne. Tło egzotyczne usypia reakcję moralną, podrażniając ją jednak nieco — wszystko to wygląda na skandal, ale dzieje się przecież tak daleko i w punkci są tak inne... A prztem wyspy na Pacyfiku z romantyczną scenografią dają ogromne pole dla używania mocnego, kontrastowego efektu. Prawda przeżyła i prawda obrazu schodzi na plan dalszy — na plan pierwszy wysuwa się egzotyzm. W formie zewnętrznej zaś, w opisie i insecenizacji osiągnął Maugham duże wirtuozostwo. Bardzo duży talent narratorski, piękny styl i język, dar podpatrywania charakterystycznych cech zewnętrznych, doskonałe poczucie sceny — wszystko to daje czytelnikowi dużą satysfakcję. Konstrukcje, które z natury rzeczy musi brakować człowiekowi pozbawionemu kośca moralnego „pożyteczna” sobie Maugham od innych, większych twórców. Na tem polega najrzeczniejsza jego sztuczka: W nowelach swoich naśladował Conrada, Stephenson’a, Lawrence’a, podrabiając zęcznie konstrukcję: drama-

ty są zięcznem naśladownictwem P. randella. Zwrócił na to uwagę prof. Tretiak w Poradniku Bibliotecznym „Oświaty Polskiej”.

Korzystanie z tych wszystkich sztuczek wyrobiło twórczości Maughama znaczną popularność, zarówno w Anglii, jak i poza jej granicami. Jednakże trudno entuzjastycznie się tym nabytkiem dla naszej kultury. Szczególnie, że skandaliczny poziom naszych przekładów odbiera jedyną wartość nowelom stojącym na wysokim poziomie pod względem stylu i języka. Przekład „Wyspy słońca” recte „Honolulu” — dzieło p. Stelli - Olgierd miałem już kiedyś sposobność zanalizować na innym miejscu. Jednakże przekład „Ashenden’a” bije go o kilka długości. Pani E. Przysuska niepozbawiona jest zdrowego zmysłu humoru. Toteż praca jej obfituje w barwne wyrażenia: pewien generał np. „z taką siłą uściśnął rękę Ashenden’a, że ten aż wierzgnął” (str. 64). Równie oryginalnym człowiekiem był niejaki p. Harrington, który „mówił z precyzją, posługując się obfitym leksykonem” (str. 299). „No cicho, cicho Dalilo, niech się pani zbierze do kupy” — mówi (str. 342).

A zaś „szef niemieckiego Departamentu Wywiadowczego” stawał dęba apowodu braku aktywności Caypore’a” (str. 197). Wobec tych trudności z oryginałem niezbyt usprawiedliwiony wydaje się przypisek tłumacza, że słowo „serviable” nie da się przetłumaczyć o c z y w i ś c i e tylko na angielski (str. 309). P. Przysuskiej brak zresztą ogólnej orientacji, jeżeli pisze, że ktoś poszedł „popatrzeć na posąg Agrypiny Młodszej” i „wykorzystał sposobność zobaczenia raz jeszcze Tycjana” (str. 96).

Problem przekładów jest jedną z najżywniejszych kwestyj naszej kultury. Pomijając już poziom samych tłumaczy, dobór dzieł jest zupełnie niewłaściwy, dokonywany według jakichś niewyjaśnionych kryteriów. Olbrzymi balast śmiecia, zalewający półki księgarskie, śmiecia, na którego tle Somerset Maugham odcina się, jako wielki artysta, brak przekładów najciekawszych dzieł literatury europejskiej — to obraz sytuacji obecnej — obraz nędzy i rozpaczy. D. H. Lawrence — największy może angielski pisarz dwudziestego wieku, jest u nas znany jako autor „pornograficznej” (albo śmielej) „Lady Chatterley”. Galsworthy został „odkryty” na krótko przed śmiercią, nazwiska takie, jak Willa Cather, F. R. Powys, Naomi Mitchison, J. B. Priestley, David Garnett i wiele innych, są u nas prawie, albo wcale nieznane. Ponieważ zaś krytyka popularna nie rozporządza znajomością języków europejskich i informuje — najczęściej fałszywie — dopiero po ukazaniu się przekładu, nasz kontakt duchowy z Europą poprzez literaturę jest prawie nieistniejący. Sztuka jest tylko terenem sztuczek, mających na celu wyciągnięcie dużej ilości pieniędzy małym kosztem. I bardzo wielkiego zorganizowanego wysiłku trzeba, żeby przywrócić właściwy poziom.

Przygotowanie zdrowej opinii publicznej jest jednym z podstawowych zagadnień tej pracy.